

Piłka nożna dla bogatych

21 maja 2021

Błyskawiczne fiasko Superligi, która przetrwała zaledwie kilkadziesiąt godzin, nie powinno nikogo uśpić. Idea wydzielenia osobnego formatu rozgrywek tylko dla bogatych została skompromitowana, ale na pewno nie umarła.

<https://www.youtube.com/watch?v=WXIGnaU69Zw>

25 maja 1967 r., Estadio Nacional w Lizbonie. Celtic Glasgow po bramce strzelonej w końcówce meczu przez Stephena Chalmersa pokonuje w finale Pucharu Europy Mistrzów Krajowych faworyzowany Inter Mediolan. Najbardziej prestiżowe rozgrywki w Europie wygrywa szkocka drużyna, w której nie ma ani jednego obcokrajowca. Mało tego. Wszyscy piłkarze ówczesnego Celticu urodzili się w promieniu 50 km od Glasgow.

Tak się złożyło, że przed rokiem finał najbardziej prestiżowych zmagania na starym kontynencie również toczył się w Lizbonie. Trofeum zdobył niemiecki Bayern Monachium. W pierwszej jedenastce Bawarczyków wybiegło 6 Niemców. Niby nie najgorzej, ale wśród nich był tylko jeden piłkarz, którego Bayern ukształtował piłkarsko od czasów juniora. To jednak i tak o niebo lepiej niż w drużynie finałowego rywala. We francuskim PSG na boisko wybiegło dwóch piłkarzy z ojczyzny de Gaulle'a, w tym jeden wychowanek. Porównanie to dobitnie ukazuje, jak zmieniła się piłka przez ostatnie pół wieku.

W latach 90. doszło do dwóch wydarzeń, które na trwałe zmieniły charakter europejskich rozgrywek. Pierwszym z nich było przekształcenie Pucharu Europy Mistrzów Krajowych w Ligę Mistrzów. Najważniejszą cechą reformy było zastąpienie w początkowej fazie rywalizacji systemu pucharowego (gdzie przegrywający odpada po dwumeczu) zmaganiem w czterozespołowych grupach. Systematycznie również zwiększano ilość uczestników fazy grupowej, do obecnych 32, dopuszczając

do rywalizacji nie tylko wicemistrzów, ale nawet drużyny zajmujące 3. i 4. miejsce (przy czym nie zdecydowano się na zmianę nazwy rozgrywek) w de facto najbogatszych ligach, choć do sezonu 2018/2019 drużyny z niższych miejsc musiały przebijać się przez kwalifikacje.

Drugim znamienym wydarzeniem był wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie belgijskiego piłkarza Jean-Marc Bosmana, którego kontrakt z pierwszoligowym Royal Football Club de Liège wygasł w 1990 r. Klub wysłał zawodnika do rezerw, jednocześnie obniżając mu pobory. Bosman znalazł sobie nowego pracodawcę we Francji, ale Belgowie zażądali od Francuzów kwoty odstępnego za swojego zawodnika. Bosman poszedł do sądu, oskarżając władze klubu z Liège o złamanie unijnej zasady swobodnego przepływu osób. Sprawa trafiła do TSUE, który uznał racje zawodnika, uznając, że każdy piłkarz w przypadku wygaśnięcia kontaktu z dotychczasowym pracodawcą ma prawo do swobodnego wyboru nowego klubu, a poprzedniemu nie należy się z tej przyczyny żadna kwota odstępnego. Zasady te miały obowiązywać we wszystkich federacjach piłkarskich państw należących do Unii Europejskiej.

Niewątpliwie orzeczenie TSUE poprawiało sytuację zawodników, którzy do tej pory często, już po zakończeniu zobowiązań kontraktowych, byli traktowani jak zakładnicy przez dotychczasowych pracodawców. To jednak nie wszystko. Trybunał uznał, że federacje krajowe nie mogą wprowadzać klauzul ograniczających zatrudnianie cudzoziemców, jeżeli są oni obywatelami któregoś z państw Unii Europejskiej. Orzeczenie otworzyło szeroko drzwi europejskich klubów dla piłkarzy zagranicznych. Do tego stopnia, że sytuacja, gdy w drużynie włoskiej czy angielskiej nie wybiega ani jeden rodzimy piłkarz, coraz rzadziej uważana jest za anomalię.

Po orzeczeniu TSUE hipotetycznie może powstać drużyna składająca się z europejskich piłkarzy najlepszych na swojej pozycji. O ile nie ma jednej takiej drużyny w Europie, to już

w poszczególnych ligach łatwo dostrzec hegemonów, wyciągających od konkurencji najzdolniejszych zawodników. W Niemczech taką pozycję od lat ma Bayern Monachium, we Włoszech Juventus, we Francji PSG, a w Hiszpanii Real i Barcelona. Kluby te są w stanie pozyskać w zasadzie każdego zawodnika z ligi, na którego tylko mają ochotę, a dodatkowo wzmacniają skład najlepszymi piłkarzami zagranicznymi. Dzieje się to ze szkodą dla dramaturgii rywalizacji ligowej, a walka o mistrzostwo do ostatniej kolejki jest rzadkością. I tak Bayern Monachium zdobywa mistrzostwo Niemiec nieprzerwanie od 2013 r., Juventus dziewięciokrotnie wygrał rywalizację we Włoszech (w tym roku przerwana przez równie bogaty Inter Mediolan), PSG od czasów przejęcia klubu przez Katarczyków przegrywa na swoim podwórku incydentalnie, a w hiszpańskiej Primera Division w ostatnich 20 latach tylko trzykrotnie mistrzostwa nie zdobywał ktoś z duopolu Real-Barcelona.

Europejska scena piłkarska została tak szczelnie zabetonowana, że w zasadzie nie da się zagrać na niej głównej roli bez wpompowania fortuny na transfery zawodników i zatrudnianie najlepszych trenerów. Nie można przebić szklanego piłkarskiego sufitu bez pieniędzy bajecznie bogatych inwestorów. Modelowym przykładem takiej drogi są Paris Saint-Germain oraz Manchester City. Właścicielem tych pierwszych jest, siedzący na ropie, katarski biznes. Na drugi łoży z kolei szejik Mansour bin Zayed al-Nahyan. W ciągu ostatnich kilkunastu lat na oba kluby wydano, luźno licząc, 2-3 miliardy euro, niejako wykupując sobie miejsce w europejskiej elicie. Jeszcze na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego stulecia kluby z biednej Rumunii czy Jugosławii były w stanie wygrywać najważniejsze rozgrywki piłkarskie na starym kontynencie. W tej chwili sukcesem dla drużyn z naszej części Europy jest już gra w samej fazie grupowej, która dla największych stanowi dopiero rozgrzewkę przed poważną rywalizacją pucharową.

Ktoś może w tym momencie powiedzieć: no dobrze, ale skoro wspomniane kluby stać na wykup zawodników nie tylko od

krajowej konkurencji, ale też od klubów z państw stojących niżej w piłkarskiej hierarchii, to te pieniądze muszą płynąć do mniej zamożnych. I tak, jeżeli Milan kupił Krzysztofa Piątka za 35 mln euro od Genoi, to klub z Ligurii zarobił na transferze 31 mln. Wcześniej bowiem musiał zapłacić za polskiego napastnika 4 mln euro Cracovii. Polski zespół zarobił zatem również pieniądze ogromne jak na nasze lokalne warunki. Mało tego, na każdym transferze Piątka zarabia Lechia Dzierżoniów z tytułu wyszkolenia zawodnika. I tak, po przeprowadzce snajpera z Milanu do Herthy na konto czwartoligowego klubu z Dolnego Śląska trafiło 270 tys. euro.

Czy można z tego wysnuć wniosek, że dzięki hojności możnych zyskują wszyscy, a bogactwo spływa z góry klubowej hierarchii na sam dół? Niestety tak nie jest. Po pierwsze największe pieniądze wydaje się między najbogatszymi klubami (np. rekordowe 222 mln euro, jakie PSG musiało zapłacić Barcelonie za Neymara). Za zawodnika z mniej majętnej ligi z założenia płaci się gorsze pieniądze. Poza tym, co istotniejsze, reformy rozgrywek europejskich, w których kluby mogą zarobić, zmierzają w kierunku ograniczania możliwości awansu biedniejszym, przy gwarancji uczestnictwa większej ilości przedstawicieli lig najbogatszych. Kilkanaście lat temu zauważył to Michel Platini, któremu udało się przeforsować reformę Ligi Mistrzów. Dokonano podziału kwalifikacji tak, by przedstawiciele najbogatszych lig nie mogli rywalizować o awans z mistrzami lig mniej zamożnych. Zgodnie z tym czwarta drużyna ligi angielskiej nie mogła na tym etapie rywalizować z mistrzem Polski. Zmiana spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem klubów skupionych w ramach grupy G-14, będącej protoplastą niedoszłej Superligi. Po raz pierwszy pojawiła się wtedy poważna groźba rozłamu w europejskiej piłce, wyciszona ugodą z FIFA i UEFA w sprawie rekompensat dla klubów za kontuzje ich zawodników w Mistrzostwach Świata i Mistrzostwach Europy.

Reforma Platiniego była jednak ostatnią próbą poprawienia

sytuacji biedniejszych klubów w rywalizacji z europejskimi gigantami. Od tego czasu widzimy jak włodarze europejskiej piłki ulegają coraz bardziej żądaniom możliwych, używających raz po raz straszaka w postaci stworzenia odrębnej ligi. W 2017 r. UEFA nieco zmodyfikowała łatwiejszą ścieżkę awansu dla klubów z mniej zamożnych lig, zmniejszając o jedną pulę miejsc dla klubów ze ścieżki mistrzowskiej. Co jednak bardziej istotne, zagwarantowała po cztery miejsca w fazie grupowej Ligi Mistrzów przedstawicielom czterech najbogatszych lig: angielskiej, hiszpańskiej, włoskiej i niemieckiej. Na tym szczególnie zależało europejskim potentatom, dla których ewentualny brak gry w najbardziej dochodowych rozgrywkach oznacza ogromne straty dla budżetu. Dodajmy, klubów i tak już mocno zadłużonych, co trwająca pandemia jedynie spotęgowała. Żyjące od lat na kredyt Real, Barcelona czy Juventus (tutaj chlubnym wyjątkiem jest Bayern Monachium) utraciły wpływy z biletów oraz z promocji na całym świecie.

Największe kluby europejskie są bowiem markami globalnymi, którym w coraz większym stopniu zależy na satysfakcji kibica azjatyckiego czy amerykańskiego niż wiernego fana od lat przychodzącego na stadion. W lidze hiszpańskiej już tradycją stało się rozgrywanie kilku spotkań w kolejce o godzinach wyjątkowo wczesnych jak na styl życia mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego (między 12 a 14), aby tylko zadowolić chińskiego kibica Primera Division, oglądającego mecze w lokalnym prime timie. Od 2020 r. natomiast organizowane są rozgrywki o Superpuchar Hiszpanii w formie turnieju rozgrywanego pomiędzy czterema zespołami w... Arabii Saudyjskiej (w tym roku z powodu pandemii musiał być „przymusowo” rozegrany w Hiszpanii). Poważnie rozważano także kuriozalny pomysł rozgrywania niektórych meczów ligowych w Stanach Zjednoczonych. Hiszpania nie jest wyjątkiem. Szlak przecierali Włosi, którzy już w 1993 r. zorganizowali mecz o Superpuchar na stadionie w Waszyngtonie. Od tego czasu tradycyjny mecz między mistrzem Italii a zdobywcą pucharu rozgrywany był w Libii, Chinach, Katarze czy Arabii Saudyjskiej.

Oprócz oczywiście żądzy większego zysku (za sam udział w rozgrywkach kluby miały mieć do podziału 3,5 mld euro), u podstaw projektu Superligi stało myślenie w kategoriach globalnych, reprezentujące nieeuropejską wizję sportu. Obejmowała ona rozgrywki ze stałymi drużynami, mającymi co rok zagwarantowane miejsce w nich niezależnie od uzyskiwanych wyników, co żywo przypominały amerykańskie ligi koszykówki, hokeja czy baseballu. To nie może dziwić, skoro sponsorem ligi miała być amerykańska sieć banków inwestycyjnych JP Morgan Chase. Pewną osobliwością byłoby zapraszanie do Superligi członków niestałych, oczywiście uznaniowo wskazywanych przez samych założycieli.

Pomysł, który miał mieć siłę bomby atomowej, z dnia na dzień zmieniając rzeczywistość europejskich rozgrywek, okazał się jednak przemokniętym kapiszonem. Dlaczego? Oczywiście forma zakomunikowania światu rewolucyjnego pomysłu była fatalna. Te jaskrawe niedociągnięcia nie były jednak decydujące w tak szybkim pogrzebaniu projektu. Wydaje się, że kluczowym okazał się brak właściwego rozeznania rzeczywistości piłkarskiej przez pomysłodawców. Nie spodziewano się tak masowego i zgodnego sprzeciwu wobec Superligi ze strony europejskiej centrali, federacji związkowych, piłkarzy, mediów i kibiców. O tym, jak ważna okazała się to kwestia, świadczy fakt zajęcia stanowiska przez czołowych polityków europejskich. Prezydent Francji Emanuel Macron wyraził zadowolenie, że żaden francuski klub nie weźmie udziału w Superlidze (zaproszone było PSG), a premier Wlk. Brytanii Boris Johnson określił plany stworzenia nowych rozgrywek jako destrukcyjne dla futbolu. I to w sytuacji, kiedy aż sześć angielskich klubów miało mieć w nich zagwarantowane miejsce na stałe.

UEFA postanowiła zareagować stanowczo i zagroziła, nie tylko wyrzuceniem klubów biorących udział w secesji z wszelkich europejskich rozgrywek (co miałoby zasadnicze konsekwencje już w tym sezonie, bo na półfinalistów Ligi Mistrzów aż trzech z czterech zadeklarowało chęć uczestnictwa w Superlidze, a Ligi

Europy – połowa) oraz krajowych, ale też zakazem uczestnictwa w Mistrzostwach Europy dla ich piłkarzy. Na marginesie trzeba dodać, że zdecydowana reakcja UEFY mniej wynikała z przyczyn ideowych, a bardziej z czysto ekonomicznych. Rozgrywki bez klubów generujących największe zainteresowanie postronnych kibiców przestałyby przynosić tak gigantyczne zyski, także dla europejskiej centrali piłkarskiej. Bunt możnych musiał być zresztą dla niej niemałym szokiem, tym bardziej, że kilka dni wcześniej uzgodniono reformę rozgrywek pucharowych zgodnie z interesami największych. Te mogłyby zagrać w Lidze Mistrzów nawet zajmując miejsce poniżej 4. w swojej lidze. Co szczególnie interesujące, szefem ECA, w ramach której został ustalony przyszły format Ligi Mistrzów, był wtedy Andrea Agnelli, prezes Juventusu Turyn, a także wiceprezes... niedoszłej Superligi.

Tym, co przeważało szalę, była ulica, a konkretnie angielscy kibice wściekli, że ich ulubieńcy mogą zostać wykluczeni z Premier League. Dla fanów Chelsea ważniejsze okazały się derby Londynu z West Hamem i Fulham niż cotygodniowe starcia z Realem i Barceloną. Podobnie dla kibiców pozostałych angielskich klubów, a fani Manchesteru United wtargnęli na stadion i nie pozwolili na rozegranie meczu z Liverpoolem, nawet po tym, jak amerykańscy właściciele Czerwonych Diabłów wycofali się z Superligi. Bunt możnych chwilowo został zdławiony. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że porzucą oni swój pomysł na nową „lepszą” piłkarską Europę.

Tak, jestem romantykiem futbolu, wciąż wierzącym, że pieniądze w tym sporcie nie są jedynym gwarantem sukcesów. Z biegiem czasu wiara ta jednak słabnie we mnie. Piłka przez ostatnie lata przeszła błyskawiczną transformację. Bez formalnego utworzenia odrębnej ligi bogaczy, piłkarska elita pieniędzy uciekła daleko biedniejszym pretendantom. Nawet teraz jednak czasami Dawidowi uda się pokonać Goliata, a już sama możliwość rywalizacji z wielkim rywalem jest wydarzeniem, które kibice piłkarskiego kopciuszka wspominają latami. Jestem kibicem

Wisły Kraków. Teraz drużyna jest w kryzysie, od dekady nie mogąc przebić się do kwalifikacji europejskich rozgrywek. Nie tak dawno jednak klub wygrywał ligę, a ja mogłem pasjonować się meczami z galaktycznym Realem Madryt, naszpikowaną gwiazdami Barceloną czy Interem Mediolan. W większości przypadków były to potyczki przegrane, ale zdarzały się też wielkie triumfy, jak pamiętne 4:1 nad ówczesnym wicemistrzem Niemiec, Schalke 04 Gelsenkirchen. Gdyby istniała Superliga, nie miałbym szans przeżywać takich emocji. Tak jak milionom kibiców w całej Europie, oddanym drużynom spoza elitarnej 12 czy 15, brutalnie pozbawiono by mnie marzeń.

Odebranie resztek nadziei... Tak, to byłaby największa zbrodnia Superligi.

Autorstwo: Marcin Rezik

Źródło: NowyObywatel.pl